

ROZDZIAŁ 1

Sobota, 10 sierpnia 2019.

Darek zdjął kask i wierzchem dłoni wytarł pot z zakurzonego czoła i policzków. Miał wrażenie, że ślepie od wielogodzinnego patrzenia na rażące światło słoneczne odbijające się od jasnego piachu wydobywanego z wykopów. Spojrzał na zegarek. Dochodziła już piętnasta. Wkrótce kończą. Po chwili szamotania się z tylną kieszenią spodni, wyjął z niej paczkę papierosów. Pusta. Syknął przez zęby, po czym ruszył w kierunku zaparkowanego w pobliżu minibusa. W schowku powinien znaleźć jakąś wpół wypaloną paczkę. Wdrapał się na fotel pasażera, po czym otworzył schowek, z którego wyleciała sterta papierów.

– Cholera! – jęknął i z trudem nachylił się, aby zebrać z podłogi samochodu pogniecione paragony i faktury.

– Szefie! – usłyszał za plecami.

– Czego?!

– Szefie! Mamy problem!

– Kurwa! – przeklął pod nosem. Ze zdenerwowania poczuł jak krew podływa mu do szyi. „Mamy problem” były ostatnimi słowami jakie chciał usłyszeć przed sobotnim fajrantem.

– Znaleźliśmy coś.

– Dorzućcie do tamtych w workach! Wiecie co robić! – warknął zniecierpliwiony.

Weszli na plac ponad tydzień temu i praktycznie od razu po zdjęciu nawierzchni i paru machnięciach, łycha koparki natrafiła na kości. Wezwali oczywiście policję, tamci wezwali, koronera i prokuratora. Potem sanepid, archeolodzy, konserwator zabytków i cała masa wszelkiej maści urzędasów.

Okazało się, że odkopali XVII-wieczny cmentarz dla biedoty. Nikomu z zainteresowanych nie zależało na rozgłosie i sprawę trzymano z dala od mediów. Dla firmy prace archeologiczne oznaczały tylko przestój w robocie i dodatkowe koszty. Dla policji i archeologów byłaby to dodatkowa praca oraz wydane pieniądze. Wszyscy wezwani na miejsce eksperci oglądali znalezisko, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić. Oczywiście roboty zostały na ten czas wstrzymane. Przystój trwał aż trzy przekłete dni, po czym polecono im, aby wszystkie znalezione szczątki zebrali do worków i przywieźli na komisariat. Całe szczęście na tym się skończyło i archeolodzy nie wleźli im na budowę na kolejne miesiące. Jednak ręczne wyjmowanie z wykopów pojedynczych kości opóźniało pracę i angażowało więcej ludzi. Nie mogli sobie niestety pozwolić, aby coś przeoczyć. Musieli szczególnie uważać, aby żadne szczątki nie trafiły na nasyp. Nie daj Boże, przechodziłby obok jakiś nadgorliwiec, doniósł o wszystkim do gazet i zaraz zrobiłaby się awantura, protesty pasjonatów historii i kolejny przestój.

– Szefie! To co innego. To coś więcej.

– Kurwa! Zbychu! Jak zawracasz mi dupę z powodu głupoty to... – Darek przeklinając wygramolił się z samochodu, z garściami pełnymi pogniecionych papierów, które rzucił na fotel minibusa.

– Nie, szefie. Serio. To coś dużego – upierał się Zbychu, prowadząc Darka w stronę wykopu.

Koparka przestała pracować, a wszyscy robotnicy tłoczyli się w jednym miejscu wokół tajemniczego znaleziska.

– Odsunąć się! – warknął im za plecami Darek, przeciskając się pomiędzy mężczyznami. Spojrzał w dół wykopu i na widok jego wnętrza wysoko uniósł brwi.

– No... To teraz będą jaja – westchnął zrezygnowany.

*

Andrzej z satysfakcją wybrał w menu arkusza kalkulacyjnego opcję „Zapisz”. Wszedł w program do obsługi poczty, utworzył nową wiadomość i załączył przed chwilą skończony kosztorys. Wcisnął „wyślij”, po czym zamknął laptop. „No to weekend!” – pomyślał. Siedząc na krześle obrotowym, przeciągnął się z uśmiechem na twarzy. Na szybko wyrównał kupki dokumentów leżące na biurku, po czym pośpiesznie podążył w kierunku wyjścia. Zamknął biuro i radośnie zbiegał ze schodów, gdy w kieszeni zawibrował mu telefon. To pewnie Beata z listą pilnych sprawunków przed wyjazdem. W każdy inny dzień odczułby właśnie irytację, jednak dzisiaj miał przed sobą wizję wyrwania się z gorącego miasta i weekendowego wypadu nad morze. Nic nie mogło mu popsuć humoru.

Spojrzał na komórkę. „Darek. Czego on może jeszcze chcieć?” Wyszedł z budynku na parking i przyłożył telefon do ucha.

- Co jest? – rzucił do słuchawki.
- No... mamy problem – odezwał się po drugiej stronie jego wspólnik.
- Może ty masz problem. Ja jadę nad morze.
- Dawaj na Sowińskiego i nie gadaj nawet. – Darek rozłączył się.

Andrzej spojrzał na ciemny wyświetlacz telefonu i przeklął pod nosem. Następnie wsiadł do samochodu i udał się w kierunku placu budowy.

Gdy dotarł na miejsce, zbiegowisko wokół znaleziska już się rozproszyło, a robotnicy schronili się przed parzącym słońcem w cieniu wysokich topoli. Jedynie Darek stał nad wykopem kontemplując jego zawartość.

- Co tym razem? Złoty pociąg czy Bursztynowa Komnata? – spytał Andrzej podchodząc bliżej.
- Gorzej – sapnął Darek obrzucając go zrezygnowanym wzrokiem.

Andrzej podszedł do krawędzi wydrążonego w drodze rowu i zajrzał do środka.

Na dnie wykopu stał sporych rozmiarów cynowy sarkofag. Chłopaki nie odkopali go w całości, ale wystarczająco, aby dało się zauważyć ozdobny herb z medalionem na środku prostej i pozbawionej dekoracji pokrywie trumny.

– O ja pierdziele. Do jutra stąd nie wyjdziemy – jęknął Andrzej. – Kiedy to odkopaliście?

– Dopiero co. Od razu do ciebie zadzwoniłem.

– Do kogoś jeszcze dzwoniłeś?

– Nie. – Darek nie odrywał wzroku od trumny. – Co to jest w ogóle? – zapytał wskazując palcem na wieko sarkofagu.

– Jakiś herb. Coś jakby jeleń i dwa psy.

– Wilki może? 1620 to rok urodzin czy śmierci?

– Nieważne! Mamy przesrane! – Andrzej przykucnął nad wykopem, w dramatycznym geście opierając łokcie na kolanach i wplatając dłonie w blond czuprynę. A już miał się kąpać w Bałtyku. Beata go zabije jak się dowie, że nici z wyjazdu.

Obaj przez chwilę patrzyli na cynowy sarkofag w milczeniu.

– Słuchaj! – po kilkunastu sekundach ocknął się Darek. – Tak całkiem hipotetycznie, ile wynosi kara za zatajenie czegoś takiego?

Andrzej spojrzał się podejrzliwie na współnika, jednak bez słowa wyjął smartfona z kieszeni i zaczął coś wklepywać w ekran.

– No, jest coś – powiedział po chwili przeglądania wyników wyszukiwarki. – „Mandat nawet do pięciu tysięcy złotych” – cytował z naciskiem na słowo „nawet”.

– No, to jak sobie policzymy koszty przestoju, ewentualne kary umowne i to, że przez przestój prawdopodobnie nie będziemy się wyrabiać z kolejnymi zleceniami... – kalkulował głośno Darek.

– A co jak się okaże, że mogą nas za to nawet posadzić?

– To się wtedy będziemy martwić. Pomyśl, jest weekend. Sobota po południu. Kto ci tu teraz przyjedzie? Będziesz czekał godzinami na pały. O ile w ogóle przyjadą? Bo przecież są zajęci obstawianiem miasta przed Pyromagic¹. Potem na prokuratora, czy cholera wie kogo. Zasympmy to chociaż do poniedziałku. Jak coś, to będziemy ściemniać. Trup w środku leżał tu tyle lat, to poleży jeszcze kilka dni. Sam przecież nie wylezie.

Andrzej westchnął głęboko, przygnębionym spojrzeniem omiatając sarkofag. W jego myślach jednak zaczęła się powoli tlić mała isierka nadziei na powodzenie wyjazdu nad morze.

– Dobra, do poniedziałku – przytaknął.

Darek uśmiechnął się, po czym odwrócił się w kierunku odpoczywających pod drzewami robotników. – Panowie, ostatnie zadanie na dzisiaj!

*

Pociąg regionalny linii Słupsk–Szczecin Główny nie był o tej porze szczególnie zatłoczony. Było już po dwudziestej pierwszej, gdy Natalia wsiadała do niego w Łobzie. Chciała uniknąć upału i zdążyć jeszcze na ostatni tramwaj do domu Pani Róży.

Teraz siedziała przy oknie wciśnięta w róg przedziału, starając się dojrzeć coś w mroku ukrytym za jej własnym odbiciem w szybie. Fakt, że wewnątrz pociągu jest doskonale widoczne z zewnątrz, natomiast ona nie jest w stanie dostrzec praktycznie nic w pędzącej za oknem ciemności zawsze budziło w niej lekki niepokój. Tak jakby mrok ją obserwował. „Kiedy spoglądasz w otchłań ona również patrzy na ciebie” – otrząsnęła się, przywołując w myślach nieco oklepany cytat. Oderwała wzrok od okna i przeniosła go na trzymaną w rękach książkę. Próbowała się skupić na

¹ Międzynarodowe pokazy fajerwerków odbywające się co roku w Szczecinie.

czytanych słowach, lecz zanim dokończyła zdanie łapała się na tym, że nie pamięta jego początku. W głowie kołatały jej myśli.

Do Szczecina postanowiła wrócić trochę wcześniej. Pomimo, że egzamin poprawkowy miała dopiero za ponad trzy tygodnie, nie chciała siedzieć dłużej w domu. Atmosfera była nieznośna, a poza tym tutaj miała święty spokój i bibliotekę pod ręką. Od kiedy Helena wprowadziła się do ojca, jej własny dom przestawał być jej domem. Babcia zmarła rok wcześniej. Najważniejsza osoba w jej życiu. To ona ją wychowywała, po tym jak matka umarła zaledwie kilka tygodni po narodzinach Natalii. Ojciec całkowicie się załamał i nie był w stanie sam zająć się dzieckiem. Postanowił przenieść się do domu swojej matki, aby to ona wychowała małą. Natalia uważała, że nie mógł postąpić lepiej. Sam był wiecznie nieobecny, a babcia kochała ją jak własne dziecko. Pomimo straty matki, Natalia uważała swoje dzieciństwo za szczęśliwe. A potem straciła także ją.

Była wtedy na pierwszym roku studiów w Szczecinie, całkowicie pochłonięta swoją pierwszą sesją. Przejęta życiem w nowym mieście, nową grupą znajomych, esejami, kolokwiami, egzaminami. Była tak zajęta, że nawet nie miała czasu pojechać do domu na Dzień Babci. Wielokrotnie sobie później to wyrzucała. Po ostatnim egzaminie z psychologii wracała wieczornym pociągiem i tak samo jak teraz próbowała dojrzeć coś w mroku za oknem. Szczęśliwa, że udało jej się wszystko zaliczyć, jak na skrzydłach szła piechotą ze stacji do domu, nie czując nawet ciężaru torby wypełnionej brudnymi ubraniami. Gdy tylko przeszła przez próg, wiedziała, że coś jest nie tak. Światła w domu były przygaszone, telewizor wyłączony. Totalna cisza. Ojciec i Helena siedzieli na kanapie w salonie. Spojrzeli na nią, gdy weszła do pokoju. Wiedziała co się stało. „Kochanie! Tak mi przykro!” – Helena wstała i w dramatycznym geście rzuciła się na nią, obejmując ją i chlipiąc. Ojciec opierał usta na załamanych dłoniach, a jego oczy wypełniły się łzami.

Po kilku miesiącach Helena wprowadziła się do ojca. Natalia z jednej strony się cieszyła, bo ten był w zupełnej rozsypce, totalnie niezaradny, potrzebował kogoś kto się nim zajmie. Ulżyło jej, że Helena będzie przy nim. Jednak przy okazji każdej kolejnej wizyty w domu, czuła się w nim

coraz bardziej obco. Oczywiście, rozumiała, że „nowa pani domu” potrzebowała odświeżyć nieco wnętrza, ale czy naprawdę musiało to być tak drastyczne? Dom babci, co prawda, przypominał nieco PRLowski skansen, ale Natalia kochała ten skansen. Komody na wysoki połysk, witryny wypełnione porcelanowymi serwisami i kryształami. Parapety pełne kwiatów i wazonów z kolorowego szkła, które w słoneczne dni mieniły się tysiącem barw. Do czasu, aż zjawiła się Helena ze swoimi zakupionymi w supermarkecie tryptykami przedstawiającymi storczyki, szklanymi stolikami na nogach ze stali nierdzewnej i szarymi dywanami typu „shaggy”.

Gdy Natalia przyjechała do domu na lato, wewnątrz było nie do poznania, a bibeloty Babci zniknęły. Helena poinformowała ją grzecznie, że wszystko dokładnie spakowała i wyniosła w kartonach do piwnicy. Natalia od razu zanurkowała w pudłach poustawianych w kotłowni, w poszukiwaniu rubinowej patery, do której żywiła szczególny sentyment i na której babcia zwykle układała ciasteczka cytrynowe lub faworki. Postanowiła, że zabierze ją ze sobą do Szczecina, aby jej o niej przypominała. Nieszczęsna Helena nie zdawała sobie sprawy z tego wszystkiego, gdy kilka tygodni wcześniej oddawała tę patere remontującemu łazienkę kafelkarzowi i któremu podobno owa patera bardzo się spodobała. Natalia nie mogła się powstrzymać i przy okazji awantury o patere wyrzuciła Helenie znacznie więcej niż powinna. Od tej pory atmosfera była mocno skwaszona. Jej samej było nawet trochę głupio, ale Helenie też się należało. Jakby tego było mało, ojciec poinformował ją dzień przed wyjazdem, że zmierzają się z Heleną pobrać na święta. Tego było już za wiele. Musiała stamtąd uciec.

Pociąg toczył się po torach w kierunku centrum Szczecina. W oddali widziała znajome sylwetki oświetlonych budynków. Czuła ulgę. Czuła jakby wracała do domu.

*

Było już grubo po dziesiątej. Gwieździste niebo gdzieśgdzie zakrywała ciemna chmura. Po upalnym dniu, wieczór był dość przyjemny. Ulica, którą szli była praktycznie w centrum miasta. Dobrze oświetlona, lecz zupełnie pusta. Szkoły, uniwersytet, jakieś warsztaty. Wszystko puste. W oddali słychać było wystrzały fajerwerków. Za ledwie kilka przecznic dalej miasto tętniło życiem, kluby były pełne, a ulice zatłoczone mieszkańcami zmierzającymi w kierunku Odry, aby zobaczyć pokazy sztucznych ogni. Tutaj jednak panowała kompletna cisza i spokój.

Miejsce budowy zastali takim jakim go Zbychu widział kilka godzin wcześniej. Niestrzeżone. Rozkopana ulica. Jedynie biało-czerwone zapory drogowe i żółte tablice „TEREN BUDOWY WSTĘP WZBRONIONY” stanowiły marne zabezpieczenie przed ewentualnym wpadnięciem do wykopu. Nawet jednego ciecia nie zostawili. Z drugiej strony, po co? Po co ktoś miałby się tu kręcić o tej porze w sobotni wieczór?

Kazik podążył niepewnym krokiem za Zbychem. Czuł się dziwnie. Na widoku. Tyle światła. W ciężkich torbach wędkarskich, które nieśli na plecach dźwięczały im narzędzia i łomy. Zazwyczaj okoliczności ich wyskoków były bardziej dyskretne. A tu? W środku miasta. Co prawda, na pustej, ale całkowicie oświetlonej ulicy.

Zbychu odsunął jedną z zapór. Ostrożnie przeszli po stercie starej kostki brukowej i weszli na hałdę piachu z wykopu. Po deskach położonych nad rowem powoli zeszli do długiego koryta wydrążonego wzdłuż jezdnii. Kazik poczuł się nieco pewniej. Głęboki wykop, w którym się znajdowali dawał mu poczucie schronienia przed wzrokiem ewentualnych, zabłąkanych przechodniów.

– To kości? – spytał Kazik wskazując na jasne kształty wyłaniające się ze ścian wykopu.

– Ta – odparł Zbychu.

– Ludzkie?

– Ta. Trupy. Te nas nie interesują.

Po przejściu kilku metrów Zbychu zrzucił z brzdękiem ciężką torbę z pleców i wystękał – To tutaj!

Obaj z toreb wyciągnęli niewielkie szpadle i zaczęli kopać. Wygodniej byłoby oczywiście długą łopatą, ale nie chcieli budzić niepotrzebnych podejrzeń, niosąc nocą łopaty przez miasto. Faceta z łopatą zawsze to łatwiej zapamiętać niż faceta bez łopaty. Poza tym Zbychu wiedział, że to czego szukali nie jest zbyt głęboko i we dwójkę szybko sobie poradzą. Po kilku minutach szpadel Kazika wydał głuchy dźwięk, natrafiając na coś twardego. Obaj z ekscytacją zaczęli szybszymi ruchami odgarniać piach szpadlami, a następnie gołymi dłońmi.

– I co? Mówiłem? – spytał retorycznie Zbychu, gdy wreszcie uznali, że dalsze kopanie nie jest potrzebne.

– No – odparł Kazik patrząc na duży cynowy sarkofag. – Skąd wiesz, że coś tam jest?

– Jak to skąd? Bo w takich trumnach nie chowali takiej biedoty jak ty, tylko bogaczy. A bogacze, wiadomo, zawsze lubią mieć przy sobie kasę. Nawet w grobie.

– A może wszystko tam już zgniło jak to od średniowiecza tu leży?

– Nie od średniowiecza, bo weź se zobacz rok – 1620. To już po średniowieczu w chuj. A poza tym, trup może i zgnił, ale jakie bakterie rozkładają złoto, weź mi powiedz?

– Nie wiedziałem Zbychu, że ty taki specjalista od historii i bakterii jesteś.

– A żebyś, kurwa, wiedział. Obejrzyj se raz jakiś program edukacyjny na kablówce, to też się może czegoś dowiesz, a nie tylko seriale ze starą. Dobra, koniec pierdolenia, dawaj ten łom.

Kazik wyciągnął z torby metalowy drąg i podał go Zbychowi. Ten wsadził płaski koniec narzędzia między wieko i podstawę sarkofagu, następnie zapał się próbując go otworzyć.

– Może lepiej byłoby najpierw rozwalić te kłódki? – spytał niepewnie Kazik, wskazując nogą jedną ze skorodowanych kłódek umieszczonych po obu bokach sarkofagu.

– No popatrz, kurwa, Sherlock prawie. Coś tam kumasz jednak – wysapał Zbychu ocierając pot z czoła. – Łap! – rzucił łom w kierunku Kazika.

Kazik złapał łom i patrzył niepewnie na Zbycha, nie rozumiejąc jego intencji.

– No, napierdalaj w te kłódki, szwagier, zanim nas ktoś tu najdzie! – powiedział Zbychu odpalając papierosa.

Pomimo, że sam sarkofag był w całkiem niezłym stanie, to czas mocno dał się we znaki kłódkom, które dość łatwo ustąpiły po kilku uderzeniach Kazika.

– Daj! – Zbychu wyrwał łom z rąk Kazika. – Teraz powinno pójść łatwo.

Ponownie wsadził płaski koniec łomu pod wieko sarkofagu. Zaparł się, lecz szybko zrezygnował. Pociągnął papierosa, wypuścił dym i ponownie wsadził papierosa do ust. Zaparł się ponownie z całych sił.

– Ale się skurwysyn zaparzył! – wykrztusił przez zęby, w których zaciskał papierosa.

Nagle z trzaskiem wieko ustąpiło, przesunęło się w bok, a Zbychu tracąc równowagę, wyrznął szczęką w metalowy brzeg pokrywy.

– O kurwa! – wymamrotał wyjmując z ust pogiętego peta, a drugą ręką wycierając krew z rozwalonej wargi. – Oby było warto! Łap z tamtej strony.

Ostrożnie trzymając za przeciwległe rogi wieka starali się zsunąć je na bok z podstawy trumny. Udało się.

Obaj jakiś czas studiowali nieboszczkę spoczywającą w jego wnętrzu. Zbychu obchodził sarkofag dookoła i dokładnie oglądał swoje znalezisko. Niczym odwiedzający muzeum, skrupulatnie wpatrujący się w eksponaty wystawione w gablocie.

Czarne aksamitne buty na obcasie ozdobione zielonym haftem. Długa suknia, bogato dekorowana czarnymi koronkami i zielonym aksamitem. Blade, pomarszczone niczym bibuła, splecione dłonie. Gruby, wysadzany wielkimi zielonymi kamieniami naszyjnik na pomarszczonym dekolcie. Długie siwe włosy opadające na ramiona i blada pergaminowa twarz z zapadniętymi policzkami.

– I co? Mówiłem? – spytał z satysfakcją Zbychu. – Biżuteria, stary.

– Dobrze się zachowała – powiedział przygaszonym głosem Kazik stojąc w nogach trumny.

– Bo to pewnie złoto, to co miało się nie zachować?

– Mówię o niej, nie o biżuterii. Czteryście lat i ciągle ma włosy i skórę.

– No. To mumia jakaś chyba. Chuj z tym. Patrz na to! – zmienił temat Zbychu wsadzając pogiętego i zgaszonego już papierosa do ust i wyciągając dłoń w kierunku szyi trupa przystrojonej naszyjnikiem.

Kazika aż zmroziło na ten widok. Zbychu pociągnął za naszyjnik, ten jednak był wciąż zapięty. Pochylił się nad trumną, drugą dłoń wsadził pod kark denatki i zaczął majstrować przy zapięciu kolii. Kazika porządnie już zbierało na wymioty.

– Spoko, mam już go! – wysapał znad trupa Zbychu. – O, a co to?

Zbychu odpuścił na chwilę naszyjnik i jeszcze bardziej przysunął swoją twarz do głowy trupa. Z jej ust wystawało coś srebrnego, lekko połyskującego w świetle latarni. Myślał przez chwilę, że to może ząb, lecz gdy sięgnął by sprawdzić, okazało się, że to koniec czegoś większego. Pociągnął za tajemniczy przedmiot i z zaciśniętych szczęk denatki wyjął srebrną zawieszkę o nieregularnym kształcie.

– No popatrz jaki bonus! Chyba ułamane coś tu jest. No trudno – odwrócił się do Kazika szczerząc zęby w krwawym uśmiechu. – No, ty szwagier, widzę, że na takie wyprawy się nie nadajesz. Blady jesteś bardziej niż ta stara.

Kazik stał w bezruchu, patrząc tępo na Zbycha i nie mogąc uwierzyć w to co widzi. Wydawało mu się, że śni, że to coś nierealnego, jakieś

omamy. Takie rzeczy się nie zdarzają. Zbychu wyglądał na wyjątkowo zadowolonego, nadal szczyrzył się z zębami wysmarowanymi krwią z rozwalonej wargi, nadal trzymał w okrwawionych szczękach pogiętego papierosa. W ręku z dumą dzierżył srebrną zawieszkę. Całkiem sporą. Podniósł ją na wysokość oczu i patrzył jak światło lamp ulicznych przechodzi przez żółte kamyczki osadzone w misternej pleciance. Pewnie myślał sobie właśnie, że jest to coś sporo wartego. Kruszec to nic, to zapewne tylko srebro i być może bursztyny, ale to przecież jakiś antyk. Pochłonięty myślami o znalezisku zupełnie nie zauważył, jak tuż za nim, siwowłosa trup podnosi się z trumny, bezszelestnie zbliża się do niego, chwyta go za ramiona i zaczyna zębami szarpać jego szyję.

Kazik przyglądał się temu co się dzieje. Nic nawet nie słyszał. W uszach zdawało mu się, że ma tylko pisk. Ogarnęło go dziwne uczucie, jak to gdy kiedyś będąc na basenie próbował dotknąć dna i zanurzył się w wodzie na prawie cztery metry. Wszystkie dźwięki zdawały się być przytłumione. Czuł jakby nogi przyrosły mu do ziemi, a ciało ważyło przynajmniej tonę. Obserwował rozgrywającą się przed nim scenę jak zahipnotyzowany.

Zbychu wił się starając się wyrwać z uścisku trupa. W jednej dłoni trzymał papierosa, a drugą zaciskał na srebrnym wisiorku. Jego usta otwierały się w okrzyku, jednak Kazik nic nie słyszał. Tylko głuchy pisk w uszach. Trup mocno zaciskał dłonie nie ramionach Zbycha, cały czas będąc przyssanym do jego gardła. Co dziwne, Kazikowi zdawało się, że długie siwe włosy zmieniają barwę. W swojej niemocy zastanawiał się, czy to gra sztucznego światła lamp sprawia, że włosy wydawały mu się teraz rude. Po chwili, gdy trup nagle oderwał zęby od karku Zbycha i spojrzał na Kazika przeraźliwie szklistymi czarnymi oczami, jego strach sięgnął zenitu. Nadal jednak nie mógł się ruszyć. Skóra staruchy nie była już pomarszczona. W zasadzie, wyglądała teraz jak skóra młodej kobiety. Patrzyła na niego swoim koszmarnym, przenikliwym wzrokiem, Jej usta umazane były we krwi, która spływała jej po brodzie i po szyi, aż do złotego naszyjnika, z którym chwilę wcześniej siłował się Zbychu. Po siwiźnie nie było już śladu. Teraz widział wyraźnie. Długie, gęste rude pukle opadały na ramiona i sięgały aż do talii. Ruszyła w jego kierunku, odrzucając bezwładne ciało Zbycha na ziemię.

Poruszała się błyskawicznie. Jedną ręką chwyciła go za włosy na potylicy, a drugą objęła w pól. Poczuł na sobie jej ciało odziane w zmurszałą suknię śmierdzącą ziemią i pleśnią. Była szczupła, lecz wysoka i bardzo silna. Nie bronił się. Nie był w stanie. Pisk w jego uszach nie ustawał. Mocno pociągnęła go za włosy odchylając jego głowę do tyłu. Zobaczył gwiazdy, a potem swoją Irenę w domu, oglądającą ich serial. Psa na kanapie obok niej. Potem dzieci w kuchni, jedzące kolację. Potem rodziców. Siebie jako dziecko. Siostrę z troską dmuchającą na jego stłuczone kolano. Włosy swojej matki... włosy swojej matki... a potem już tylko gwiazdy i noc.

*

Czuła jakby tkwiła w głębokiej czarnej otchłani. Otaczała ją zewsząd. Ile tak trwała? Nie miała pojęcia. Być może kilka godzin, może dni, a nawet miesiący... lat. Cisza i ciemność. Wnet otchłań zaczęła się rozrzedzać. Poczuła świeże powietrze, a zaraz potem zapach krwi. Zapach, który obudził w niej nieodparte pragnienie. Pragnienie tak wielkie, że zdawało się być totalnie poza jej kontrolą.

Widziała tylko jego i słyszała jego dudniące serce. Życie płynące w jego żyłach było wszystkim co się teraz liczyło. Reszta nie istniała. Rzuciła się na mężczyznę pachnącego krwią, łapiąc go od tyłu za ramiona i natychmiast wbijając kły w jego kark. Nawet go nie oniemiała. Nie było na to czasu. Była jak zwierzę kierowane jedynie instynktem zaspokojenia ogromnego głodu. Mężczyzna szamotał się i wykręcał, jednak nie miało to znaczenia, bo w zderzeniu z jej determinacją i siłą był całkowicie bezbronny. Krew nigdy nie smakowała jej tak bardzo jak teraz. Jej temperatura i smak wprowadziły ją w stan ekstazy. Czuła jak zaczyna płynąć w jej żyłach, jak życie wraca do niej, jak nabiera energii. Gdy otworzyła oczy i podniosła wzrok zauważyła drugiego mężczyznę. Stał jak wryty. Praktycznie nie musiała go oniemiać, zrobiła to jednak tak czy inaczej. Może czuła się przez chwilę jak zwierzę, ale przecież nim nie była. Szarpanie się z ofiarą nigdy nie sprawiało jej dodatkowej przyjemności.

Gdy skończyła z pierwszym mężczyzną, podeszła do jego towarzysza. Objęła go i już spokojniej zaczęła z niego czerpać. Po zaspokojeniu pierwotnego głodu, zaczęła sobie przypominać o co w tym wszystkim chodziło. Widziała jego myśli, wspomnienia, uczucia i przeżycia. Czerpała jego wiedzę i doświadczenia. Spokojnie i powoli połała się jego życiem. Czuła jak z niego uchodzi. A gdy jego serce się zatrzymało, oderwała zęby od jego szyi i pozwoliła, aby ciało bezwładnie opadło na ziemię.

Wytarła rękawem krew spływającą jej po brodzie i przez krótką chwilę przyglądała się martwym ciałom swoich dwóch ofiar. „Biedaczyska” – pomyślała z niewielką troską. Ci dwaj nieszczęśnicy swoimi wspomnieniami i przeżyciami dali jej do zrozumienia, że świat się bardzo zmienił od ostatniego razu, gdy go oglądała. Uniosła się kilka metrów w górę, wynurzając się przy tym nad poziom wykopu i zawisała na chwilę w powietrzu. Miejsce było zupełnie nie do poznania. Murowane budynki, brukowana droga, światła których nigdy nie widziała. Noc nigdy wcześniej nie była tak jasna. Wyszła z wykopu i stanęła na ulicy. To wszystko uświadomiło jej kolejną rzecz. Czas, w którym trwała w otchłani, to nie miesiące, ani nawet lata, lecz dziesiątki lub nawet setki lat. Zamknęła oczy.

„Rok 2019.” – odszukała we wspomnieniach. Prawie czterysta lat! Nie taki był plan. Nie tak miało być, coś musiało pójść nie tak. Prawdopodobnie wszyscy jej sprzymierzeńcy nie żyli. Czy została sama na świecie? Ogarnęło ją przerażenie i niepewność. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to iść w stronę murów miejskich i tam szukać odpowiedzi. Spojrzała na niebo. Nie mogła dostrzec gwiazd, bo światła latarni ulicznych raziły ją w oczy. Wytężyła wzrok jeszcze raz i ruszyła na wschód, w kierunku rzeki. Z oddali dobiegał ją dziwny dudniący hałas. Po chwili zrozumiała, że musiała być to bardzo głośna muzyka gdzieś daleko. Gdy doszła do kolejnej ulicy skierowała się na północ w kierunku miasta. Gęsta zabudowa w niczym nie przypominała otwartych przestrzeni Górnego Wiku² jaki знаła. Pamiętała pola, łąki i wiatraki. Zabudowania zaczynały się dopiero niżej nad kanałem Młyńskim, wzdłuż głównej ulicy Górnego Wiku i ciągnęły aż do brzegu Odry. Ponownie skręciła w kierunku rzeki. Po

² *Vicus Superior* - osiedle podmiejskie położone dawniej na południe od Bramy Świętego Ducha, obecnie teren osiedla administracyjnego Szczecina – Nowe Miasto.

skromnych domach, zakładach rzemieślniczych i karczmach nie było śladu. Kiedyś z tych wzgórz widać było rozlewisko Odry, teraz wysoka zabudowa miejska dawała dziwne poczucie zamknięcia. Ulice, którymi do tej pory szła, choć dość gęsto zabudowane, były puste i nikogo na razie nie spotkała. Przed sobą dostrzegła bardziej ruchliwą przecznicę, wypełnioną kolorowymi światłami i głosami ludzkimi. Zatrzymała się na chwilę niepewnie, lecz zaraz ruszyła przed siebie. Po zaledwie kilku krokach w pobliskim budynku otworzyły się drzwi. Spod na zielono oświetlonego szyldu wytoczyło się dwóch roześmianych młodych mężczyzn. Każdy z nich trzymał po szklanej butelce o miodowym kolorze. Na początku jej nie zauważyli, lecz po chwili wzrok jednego z nich wyraźnie zatrzymał się na niej i mężczyzna przystanął szturchając łokciem swojego kompana.

– Ty, patrz! Jakieś „gothic party” tu jest blisko – powiedział mężczyzna krzykliwym głosem wskazując ruchem głowy w jej kierunku.

– O faktycznie! Nie wiedziałem, że takie coś jeszcze gdzieś robią – odpowiedział drugi z rozbawieniem obmierzając jej sylwetkę.

– Halo! Proszę pani! Gdzie jest taka impreza?! – wołali za nią śmiejąc się. — To nie Halloween!

Nic nie odpowiadając, szła już w przeciwnym kierunku. Szybkim krokiem przeszła wzdłuż budynku, który chwilę wcześniej minęła i skręciwszy za rogiem w opadającą ku rzece ulicę, dostrzegła uchyloną bramę. Wślizgnęła się do niej i skryła się w jej ciemnościach.

Rozumiała język mężczyzn dzięki wypiciu życia z tamtych dwóch hien cementarnych, lecz nie do końca pojmowała co mieli na myśli. Na pewno chodziło o jej strój. Zwracał na nią uwagę. Chciała przejść wręcz niezauważona, lecz w tych ubraniach było to niemożliwe. Nie mogła przecież zabijać każdego napotkanego na drodze przechodnia, bo musiałaby wymordować całe miasto. A to na pewno nie przeszłoby bez uwagi jej wrogów. O ile jeszcze tu byli.

Musiała wtopić się w tłum. Musiała zdobyć nowe ubrania. Stała chwilę z plecami przyklejonymi do zimnej ściany kamienicy, zastanawiając się, w którą stronę się udać. Usłyszała kroki dobiegające z zewnątrz. Powoli,

kryjąc się za przymkniętym skrzydłem bramy, wyrzała na ulicę. Nie było na niej nikogo oprócz młodej kobiety wspinającej się pod górkę. Miała długie ciemne włosy. Ubrana była w luźną, krótką sukienkę. Na ramieniu niosła dużą, czarną torbę. Była wysoka i szczupła. Sylwetką podobna do niej. To wystarczyło. Uznała, że się nada. Kobieta kierowała się ku uliczce, którą ona wcześniej przysła. Uliczka była dość ciemna i całkowicie pusta. Idealna. To będzie proste.

*

Natalia wysiadła z pociągu na dworcu w Szczecinie. Wiedziała, że musi się spieszyć, jeśli chce zdążyć na tramwaj. Mogłaby podjechać trójką, która miała przystanek tuż przy dworcu, ale o tej porze był to ostatni kurs tej linii i tramwaj zjeżdżał już do zajezdni. Musiała się dostać na przystanek dziewiątki na Potulickiej. Przejście tej trasy na pieszo trwało jakieś 10 min. Na szczęście często biegała i była w dobrej formie, więc niekiedy udawało jej się pokonać ten dystans nawet w 8 minut. Wbiegła po schodach na kładkę nad peronami i przeszła nad torami w kierunku miasta. Nie przepadała za tą okolicą. Pomimo, że w pobliżu dworca zawsze kręci się trochę podróżujących, to znaczna większość albo wsiadała do taksówek przed budynkiem, albo kierowała się do innych środków komunikacji od strony ulicy Kolumba, lub też kładką w kierunku Owocowej. Ona musiała przedostać się Czarneckiego pod górkę i w kierunku Potulickiej. O tej porze było tu wyjątkowo pusto, a życie zaczynało się przecznicę dalej, gdzie mieściły się sklepy nocne i lokale.

Przeszła szybkim krokiem ulicą pomiędzy kamienicami i skierowała się w lewo. Wzdłuż jednej strony ciągnął się szereg garaży, z drugiej stały pojedyncze kamienice. Oprócz stłumionych dźwięków muzyki dobiegających z Wałów Chrobrego, na ulicy panowała cisza, przerywana jedynie echem jej kroków odbijającym się od pobliskich budowli. Minęła ciąg garaży. Po jej lewej stronie rozciągał się długi ceglany mur, po drugiej zaś stały budynki policji. Szła na tyle szybko, na ile pozwalały jej sandały

na jej stopach. Czuła, że chce jak najszybciej wyjść z tej klaustrofobicznej uliczki i wejść na jasno oświetloną Potulicką, którą widziała już w oddali.

Jej torba nie była bardzo ciężka. Zaczynała jednak odczuwać pierwsze oznaki zmęczenia i w otaczającej ją ciszy, oprócz swoich kroków, słyszała swój głośny i szybki oddech. Przez chwilę wydawało jej się, że słyszy coś jeszcze. Kroki? Być może. Mogłaby przystanąć i spojrzeć za siebie, wołała jednak przyśpieszyć. Może jej się zdawało? Nie zwalniając tempa, próbowała na chwilę powstrzymać oddech, wyęzając jednocześnie słuch. Tak! Kroki! Za nią. Szybkie. Bardzo szybkie. Przyśpieszyła jeszcze bardziej. Stukot butów na chodniku, odbijający się echem od okolicznych budynków. Nie zwalniał. Wręcz przeciwnie, przyśpieszał. Kroki były coraz głośniejsze. Były coraz bliżej. Próbowała zobaczyć coś kątem oka, lecz nikogo nie mogła dostrzec. Teraz praktycznie już biegła. Potulicka była już blisko. Tuż przed nią. Kroki z tyłu tuż za nią. Jest! Skreśliła w lewo.

Pustka. Jasno oświetlona długa ulica, której końca nie widać, a na niej ani jednego żywego ducha. Biegła dalej. Po lewej stronie ciągnął się teraz betonowy mur, a po drugiej dawne koszary i nowy blok mieszkalny. Przystanek był już blisko. Na pewno zaraz przyjedzie tramwaj. Nagle poczuła jak pasek między palcami jej prawej stopy odrywa się od podeszwy i sandał zaczyna kłapać. Potknęła się zahaczając podeszwą o kostkę chodnikową. W ostatniej chwili złapała równowagę unikając upadku, jednak torba zsunęła się z jej ramienia i runęła na ziemię. Przystanęła, próbując ją podnieść.

– Dobry wieczór, Kopciuszkule! Dokąd to tak pędzisz? – usłyszała głos za sobą.

Odwróciła się, lecz jedyne co zobaczyła to pięść sunącą w kierunku jej twarzy. Poczuła uderzenie i usłyszała trzask. Pociemniało jej przed oczami. Straciła przytomność.

Gdy zaczęła odzyskiwać świadomość, nie wiedziała czy stoi, czy leży. Czuła jakby pływała w mroku. Nagle poczuła chłodną trawę pod nagimi ramionami. A więc leży. Smak krwi w ustach. Zaczął wracać jej wzrok, lecz wszystko wirowało dookoła. On stał nad nią. Za jego plecami widziała dobrze oświetloną Potulicką i przystanek tramwajowy. Ona jednak leżała

w ciemności, w zaroślach na tyłach przystanku, w które musiał ją wciągnąć. Jej torbę rzucił w trawę nieopodal. Siłował się ze swoim paskiem od spodni. Nie, to jakiś koszmar! Próbowwała się podnieść, ale jej głowa ważyła tonę i wszystko wirowało jej przed oczami. Rozpiął pasek. Starła się podnieść na łokcie. Na nic. Przekręciła się na brzuch i wsunęła dłonie pod piersi, próbowała się na nich podeprzeć i podnieść. Nagle z przerażeniem poczuła jego ciężar na plecach.

– Gotowa, Kopciuszkę? – wysapał jej do ucha śmierzącym oddechem.

Łzy rozpacz i bezsilności napłynęły jej do oczu. Chciała krzyknąć, lecz ciężar mężczyzny przygniatał jej płuca do ziemi tak mocno, że ledwie łapała oddech i z jej gardła wydobył się tylko rżący jęk. Zasłonił jej usta, cuchnącą od papierosów dłonią i nie była już w stanie wydusić z siebie nic poza stłumionym łkaniem. Całą swoją siłę skupiła na podparciu się dłońmi o ziemię i na odepchnięciu go plecami. Ważył jednak pewnie dwa razy tyle co ona. Pierwszy raz w życiu była tak panicznie bezbronna.

Nagle poczuła lekkość. Ciężar ustąpił, a ona przekręciła się na bok. W wirującej ciemności dostrzegła zarys jego sylwetki. Stał nad nią i dziwnie się trząsł. Jego dłonie zgięte w nadgarstkach sprawiały, że wyglądał jakby miał jakiś dziwny atak lub był sparaliżowany. Nie miała pojęcia co mu się stało. Dostrzegła coś jeszcze. Postać za nim. Trzymała go jedną ręką za kark, drugą za klatkę piersiową. Jej głowa była przy jego szyi. Wszystko wirowało. W oddali słyszała wystrzały fajerwerków. Ludzie na Wałach Chrobrego musieli się teraz nieźle bawić. Lecz tutaj, w ciemności, mężczyzna wydawał chrapliwe odgłosy, jęki i westchnięcia. Patrzyła na tę scenę, nie rozumiejąc co się właściwie dzieje. Zauważyła, że postać to kobieta z długimi włosami. Widziała tylko zarys jej sylwetki. Przejierający spomiędzy gałęzi snop światła latarni oświetlał jedynie twarz mężczyzny, który zdawał się być teraz nieprzytomny, lub w jakimś transie. Twarz kobiety skryta była w ciemnościach. Natalia czuła z jednej strony ulgę. To coś ściągnęło jej z pleców zboczeńca. Lecz co jeśli ona jest następną ofiarą tej... Nagle kobieta oderwała twarz od karku mężczyzny. Snop światła padł na jej twarz. Piękną i przerażającą zarazem. Regularne rysy, jasna skóra, bujne rude włosy i wydatne usta umazane krwią. Szkliste, czarne oczy zdawały się świdrować Natalię do samego wnętrza.

„Kiedy spoglądasz w otchłań, ona również patrzy na ciebie” – cytata niemieckiego filozofa zadźwięczała jej w głowie. Ponownie straciła przytomność.

*

Wspomnienia jakie czerpała z mężczyzny były jednymi z okropniejszych jakie widziała. Trafił jej się istny zwyrodnialec. Z każdym łykiem życia i energii czuła także ciężar zła i okrucieństwa jakiego się dopuścił. To była cena jaką czasem przychodziło jej płacić za nieśmiertelność. Nie taki miała plan. Jej celem była dziewczyna, lecz mężczyzna napatoczył się w ostatniej chwili, a jej po tych kilkuset latach potrzebna była każda kropla krwi. Gdy z nim kończyła, chciała oniemić także kobietę, lecz ta po prostu zemdląła na jej widok.

Odrzuciła na ziemię martwe ciało mężczyzny. Powoli podeszła do leżącej na trawie dziewczyny. Uklękła przy niej i odgarnęła kosmyk ciemnych włosów z jej twarzy i szyi. Zatrzymała się na chwilę. Pomimo wszystkiego, co zdarzyło się przed chwilą, twarz dziewczyny wyglądała teraz wyjątkowo spokojnie. Zamknięte oczy, rumiane policzki i rozchylone poranione od uderzenia wargi w dziwny sposób sprawiały, że przypominała jej trochę śpiące dziecko. „Jak moja Dora” – pomyślała przypominając sobie siostrę, którą nieraz obserwowała śpiącą podczas wielu nocy, gdy ona sama spać nie mogła, zastanawiając się godzinami, jak sobie poradzą, co z nimi będzie i do kogo z rodziny i przyjaciół będą musiały zwrócić się po pomoc tym razem.

Położyła dłoń na czole dziewczyny i wyszeptała kilka słów. Wstała i skierowała się ku leżącej w pobliżu czarnej torbie. Po chwili namysłu rozpięła suwak i z wewnątrz wyjęła małą podręczną torebkę. Sprawdziła zawartość. W środku była portmonetka, drobne kosmetyki i telefon. Wrzuciła wszystko z powrotem do środka i odłożyła małą torebkę na bok. Na szczęście w torbie były także ubrania. Przejrzała kilka pierwszych sztuk,

zastanawiając się przez moment nad zastosowaniem kolejnych części garderoby. W niczym nie przypominały ubrań, które sama zwykła nosić.

Wybrała dla siebie czarne spodnie i koszulkę na ramiączkach. Odłożyła ubrania na wierzchu torby i zaczęła rozsznurowywać swoją suknię. Gdy ta opadła wokół jej kostek na ziemię, zabrała się za zdejmowanie halki i butów. Wciągnęła na nagie biodra ciemne obcisłe spodnie, a następnie top. Dość dziwnie czuła się w nowym stroju. Szczególnie top sprawiał wrażenie jakby miała na sobie tylko bieliznę. W jej czasach nawet ladacznice ubierały się przyzwoiciej. Na dnie torby znalazła jeszcze torebkę z butami. Wybrała lekkie wsuwane czarne buty, okazały się jednak za małe. Schowała je z powrotem do torby i założyła swoje wyszywane zielonym haftem czarne pantofle na obcasie. Być może nikt nie zwróci uwagi na buty.

Przykucnęła i pośliniła rąbek swojej spódnicy, a następnie wytarła nim twarz. Miała nadzieję, że uda jej się zetrzeć ślady krwi. Sukienkę, halkę, biżuterię, buty oraz małą podręczną torebkę wsadziła do dużej czarnej torby. Zarzuciła ją na ramię i wstała. Postanowiła, że zabierze ze sobą wszystko na wypadek gdyby coś jeszcze potrzebowała. Liczyła na to, że w środku są pieniądze, które na pewno się jej przydadzą. Obejrzała się jeszcze za siebie. Dziewczyna leżała z włosami rozrzuconymi na trawie, u jej stóp z twarzą zwróconą ku ziemi, na brzuchu, leżał jej niedoszły oprawca. Kolejna „piękna” scena, którą po sobie zostawia tego wieczora. Odwróciła się i skierowała się w ku jasno oświetlonej ulicy.

Na przystanek właśnie podjechał tramwaj. Był całkowicie pusty. Drzwi otworzyły się z hałasem. Siwowłosy motorniczy z wąsem spojrzał na nią pytającym wzrokiem oczekując chyba, że wsiądzie. Jednak ona skierowała się w na północ. Tak jak pierwotnie planowała. Usłyszała za sobą pikający sygnał ostrzegawczy. Drzwi tramwaju zamknęły się i pojazd odjechał z przystanku, mijając ją po drodze.

Przeszła uliczkę, którą wcześniej biegła dziewczyna, a następnie dotarła do sklepu z zielonym szyldem. Ruszyła naprzód. Z pobliskiego lokalu wytoczyła się roześmiana grupa młodych ludzi. Opuściła głowę, rude loki prawie całkowicie zasłoniły jej twarz. Roześmiane towarzystwo

minęło ją i nikt nie zwrócił na nią za bardzo uwagi. Odetchnęła z ulgą. Mogła więc w miarę spokojnie poruszać się po mieście. Przynajmniej dopóki nie spotka innego nieumarłego.

Wszelkie treści zamieszczone na stronie Sydonia.pl (w tym treść powieści „Klątwa Gryfitów”) podlegają ochronie prawnej na podstawie przepisów Ustawy z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych (tekst jednolity z 2006 r., Dz.U. nr 90, poz. 631 z późn. zm.). Bez zgody autora zabronione jest kopiowanie treści, drukowanie, rozpowszechnianie na innych stronach, serwisach internetowych, mediach społecznościowych, etc.